

Andrzej Kurz

Wokół polskiej drogi do rozumu, czyli jak wydawałem Gombrowicza

Gombrowicz stał się dla polskiej inteligencji jednym z drogowskazów na jej europejskich ścieżkach: krytycyzmu i racjonalizmu, poszukiwania wolności, uwalniania się od kompleksu małości, zaścianka i parafiańszczyzny, przewycięzania narodowego samodurstwa i cywilizacyjnej niedojrzałości. Albo, mówiąc krótko, był i jest dla polskiego inteligenta jego krzywym zwierciadłem. Wydaje się dziś równie potrzebny jak w latach ustrojowego i mentalnego przełomu. Przychodzą bowiem podobne lata.

Nie wystarczy więc wymądrzać się Gombrowiczem w najlepszych towarzystwach, świętować okrągłe rocznice i chwalić się zażyłością z późną wdową po mistrzu. Trzeba po prostu Gombrowicza czytać i się z nim samym, bez pośredników, się spierać. Żeby zaś wielu mogło czytać, musi na rynku znaleźć się wiele egzemplarzy książki i to książki w różny sposób łatwo dostępnej.

I tutaj dochodzimy do sedna, o którym dzisiaj, w jubileuszowym zgiełku wstydliwie się milczy albo ucieka do krętaństwa. Mianowicie - niezależnie od tego, co mówią różne sfrustrowane pięknoduchy o komunistycznych wiecznie złych zamiarach i podstępnych próbach zawłaszczenia wartości najświętszych - Gombrowicz był Polakom dostępny w setkach tysięcy egzemplarzy swoich książek już w drugiej połowie lat 80. – w czasie wielkiej zmiany, ale jeszcze w Polsce Ludowej. Wydawałem wtedy właśnie jego *Dziela*, z *Dziennikiem* na czele, w nakładzie 170 tysięcy egzemplarzy każdego tomu. Można to sprawdzić na półkach każdego inteligenckiego domu w Polsce.

I jest zwykłym kłamstwem opowiadanie, że publikowane w moim WL *Dziela* były ocenzone. Cenzurze – obejmującej skreślenie kilkunastu linijek na 100 tysięcy ogółem linijek *Dziennika* – podlegał tylko jego 20-tysięczny nakład w roku 1986. A już w 1988 (więc jeszcze za rządów Rakowskiego) cenzura zniknęła i 150-tysięczny dodruk *Dziennika* ukazał się bez jednego skreślenia, a nawet z wyraźnym zaznaczeniem, co poprzednio podległo cenzurze.

Jak do tego wszystkiego doszło, opowiem. Ale trzeba zacząć od generalistów.

W okresie po październiku 1956 polscy wydawcy, a szczególnie odnosi się to do wydawców literatury pięknej: PIW, „Czytelnika”, Wydawnictwa Literackiego i innych, prowadzili konsekwentną walkę o wolność słowa pisanego. Z kim toczyła się ta walka? Zwykle odpowiada się, że z cenzurą, tzn. z nieuregulowaną prawnie metodą ingerencji w słowo drukowane ze strony państwowego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Wydawnictw, który zatwierdzał do druku każdą linijkę tekstu. W istocie rzeczy cenzura państwowa służyła politycznej i ideologicznej manipulacji, a także opresji stosowanej przez „ciemniacką” część aparatu partyjnego oraz, a może nawet przede wszystkim, personalnej grze w środowisku twórczym prowadzonej przez tajną policję. Okresy, w których do głosu dochodził w Polsce Ludowej populizm i ksenofobia typu stalinowskiego związane były ze wzrostem terrorystycznych skłonności tajnej policji, a to oznaczało zarazem zwiększenie restrykcyjnej roli cenzury.

Ale w okresie po październiku 56’ właściwie tylko jeden raz nastąpił groźny nawrót stalinizmu w Polsce i zwiększył się nacisk policyjnego terroru na fali groźnej populistycznej i szowinistycznej demagogii, która dotarła do znacznej części warstw ludowych, a także świeżej inteligencji w tzw. okresie marcowym 1968. W stanie wojennym wyglądało to już zupełnie inaczej, choć także groźnie.

Większość polskich wydawców szukała w swej walce z cenzurą pomocy w tych kierowniczych kręgach partyjnych, które sprzyjały przemianom w Polsce, zmierzającym ku

liberalizacji stosunków społecznych i liberalnej polityce kulturalnej, zbliżeniu do Zachodu, uniezależnieniu od nacisków sowietyzacji. Jeśli ktoś jest ciekaw nazwisk, to byli to w warszawskiej centrali ludzie tacy, jak w latach 70. Wincenty Kraśko, Lucjan Motyka, Józef Tejchma, Jerzy Kwiatek, Aleksander Syczewski i Stanisław Puchała, a w latach 80. Hieronim Kubiak i Mieczysław Rakowski aż po Aleksandra Krawczuka, a w Krakowie zaś Józef Klasa, Andrzej Czyż, Jan Broniek, Kazimierz Barcikowski i Krystyn Dąbrowa. Do nich chodziło się po pomoc w walce z cenzurą i intrygami twardego głowa, a przede wszystkim po obronę przed atakami betonu i bezpieki. U nich znajdowała zrozumienie taka polityka kulturalna, jaką chcieli prowadzić czołowi wydawcy, tzn. dostarczenia polskiemu czytelnikowi, w wysokich nakładach i po dostępnej cenie całej wartościowej twórczości literackiej polskiej – bez podziału na kraj i emigrację - oraz całej wielkiej i średniej literatury światowej, choć tu nasza znajomość literatur dalekiego wschodu i obszaru kultury islamskiej była, jak zresztą na całym tzw. Zachodzie, niedostateczna.

Barierą nieprzekraczalną w dążeniu wydawcy do swobody druku było rozumienie polskiej racji stanu – w takiej postaci, jak ją pojmowali Gomułka, Gierek, Jaruzelski oraz Wyszyński i Glemp - tzn. nieatakowania Związku Radzieckiego i niewzywania do obalenia ustroju w Polsce. Dzieła, które nie zmieściły się w tych granicach, a nie było ich zbyt wiele, wydawał w Paryżu Jerzy Giedroyc i w ten sposób całość ważnej twórczości była polskiemu czytelnikowi dostępna, choć nakłady emigracyjne nie miały szansy powszechnego zasięgu, podobnie zresztą – o paradoksie – choć z innych zupełnie przyczyn, jak książka polska wydawana dzisiaj.

Pod koniec lat 80. dwóch kolejnych (po Kubiaku) profesorów UJ – bezpartyjny minister kultury i sztuki – Aleksander Krawczuk i sekretarz KC PZPR do spraw kultury, Marian Stępień doprowadziło do likwidacji cenzury i wyprowadzenia podziemnego obiegu książki do stanu oficjalności. Stało się to więc jeszcze w Polsce Ludowej. A zaraz po tym nastąpił czas pełnej wolności w III Rzeczypospolitej, a równocześnie skończyła się odpowiedzialność państwa za rozwój kultury i jej dostępności dla każdego obywatela.

Trzeba także przypomnieć, że wydawcy z PIW, „Czytelnika” czy WL wspierali w sposób praktyczny prostą politykę prezesa Jarosława Iwaszkiewicza w środowisku literackim, zapoczątkowaną przez niego po Październiku ‘56: każdy pisarz ma prawo do publikowania swojej twórczości w krajowym wydawnictwie i zarabiania na życie pisaniem, a oprócz tego każdy pisarz ma prawo do paszportu i do czytania literatury emigracyjnej w bibliotece Związku Literatów Polskich. Prostota tych zasad, zrozumiałych nawet dla mało zaangażowanych w kulturę polskich przywódców owego czasu, powinna dziś budzić podziw, a nie pogardliwe miny zarozumiałców, którzy niczego nie chcą zrozumieć, niczego nie przeżyli i niczego nie dokonali.

Ale przejdźmy do historii z wydaniem *Dzieł Gombrowicza*, pisarza publikowanego przecież w Polsce Ludowej po Październiku 56’ przez „Czytelnika”, PIW, Wydawnictwo Literackie, wystawianego na scenie jeszcze na początku lat 60. przez Jerzego Jarockiego, ale później objętego nieformalnym zakazem cenzury. Zakaz ten wydano pod wpływem ataków na Gombrowicza ze strony środowiska partyjnych twardego głowa po opublikowaniu zmanipulowanego z nim wywiadu Barbary Witek-Swinarskiej, przeprowadzonego w 1963 w Berlinie. Wściekłość wywoływało, mówiąc w skrócie, Gombrowiczowe rozumienie patriotyzmu (wyłożone najpierw w *Trans-Atlantyku*), doprowadzające środowiska partyzancko-ksenofobiczne do białej gorączki. To była oczywiście kulminacja, cała bowiem zawartość publikowanego w tych czasach w „Kulturze” paryskiej *Dziennika* drażniła i upokarzała środowiska skłaniające się ku stalinowskiemu populizmowi i ujawnionej w marcu 1968 antyinteligencji. Tak więc Gombrowicza, ku jego rozgoryczeniu i złości, przestano w kraju publikować, ale książki z biblioteki „Kultury” i sam miesięcznik przecież do Polski

docierały i wywoływały ogromne zainteresowanie w środowiskach twórczych, a i wśród polityków także.

Kiedy z początkiem 1971 roku zostałem szefem Wydawnictwa Literackiego (wcześniej, przed wypadkami grudnia 70' polityczny władca Krakowa, Czesław Domagała i jego akolici nie chcieli się zgodzić na mój do Krakowa, czyli do rodziny, powrót), postanowiłem wejść mocnym uderzeniem na kulturalną giełdę i uczynić WL największym i najlepszym wydawnictwem humanistycznym w Polsce. Nikt mi tego nie kazał, nikt z ludzi władzy mnie do tego nie zachęcał.

Dzisiejsi pisarze nie są w stanie uwierzyć, ile miałem jako wydawca swobody inicjatywy i decyzji, że nikt mi pomysłów wydawniczych nie dyktował ani nawet nie zatwierdzał, choć często oceniał i bez przerwy intrygował. Zatwierdzanie formalne inicjatyw wydawniczych w Naczelnym Zarządzie Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki następowało niemal automatycznie – badano tam przede wszystkim, czy tytuł nie został zarezerwowany przez inne wydawnictwo. Czasem, lecz bardzo rzadko, wykazywano „klasową czujność” i żądano ode mnie dodatkowych argumentów. Oczywiście podlegałem własnemu wyczuciu granic wolności, które wraz z wielu innymi wydawcami chciałem wciąż poszerzać, a przede wszystkim za swoje inicjatywy, kontakty i decyzje ponosiłem pełną odpowiedzialność. Bez przerwy też moja pozycja była narażona na ataki ze strony twardegłowych (także w środowisku literackim) i na donosy bezpieki, prowadzącej w środowisku twórczym swoją grę. Warto zwrócić uwagę, że środowisko inteligenckie było przedmiotem szczególnego zainteresowania i nacisków bezpieki, a także wewnętrznej infiltracji i inwigilacji, zostało nawet – obok kleru - wyróżnione własnym departamentem nadzorczym w ministerstwie spraw wewnętrznych i odpowiednimi strukturami w każdym województwie.

Jest rzeczą oczywistą, że na tę - zawsze względną - niezależność w działaniu pozwalała mi osobista pozycja polityczna byłego I sekretarza partii w Krakowie (kierowany przeze mnie krakowski komitet miejski został w lutym 1965 rozwiązany pod zarzutem ulegania tendencjom prointeligentkim) i byłego pracownika centralnego aparatu partyjnego (a w nim partyjnego teoretyka – pracownika nauki w dziedzinie politologii i historii), związanego więzami przyjaźni z wielu kierowniczymi działaczami partii – choć zawsze z tymi, których oskarżano o rewizjonizm, lub o pobłażanie rewizjonistom. Charakterystyczne, że podobna była w latach 70. i 80. proweniencja szefów „Czytelnika” i PIW.

Mój powrót do Krakowa związany był z objęciem politycznej władzy w województwie przez Józefa Klasę, zupełnie niezwyklego działacza partyjnego, wywodzącego się z kadry działających na zachodzie Europy dyplomatów i pracowników służb konsularnych, nawróconego na skrajny w ówczesnych warunkach liberalizm i prozachodniość. Już pierwszy donos krakowskiej cenzury na mnie zakończył się przekazaniem mi go przez Klasę do wiadomości, a wkrótce odesłaniem jego autorki na emeryturę. Później miałem w krakowskiej cenzurze jako partnera kobietę solidnie wykształconą, inteligentną, jednoznacznie zaangażowaną w otwieranie polityki kulturalnej. Nigdy się nie zawiodłem na jej życzliwości i uczciwości, a ona na mojej odpowiedzialności. Nie było w tym nic z wallenrodyzmu. Kiedy było trzeba, przedstawiałem moje stanowisko na piśmie, a ona uprzedzała, że prześle je do swojej zwierzchności. Moje rozmowy z tą zwierzchnością nie były częste – mieli świadomość, że zawsze mogą się odwołać do ważniejszych od nich. Ale stos donosów na mnie w archiwum bezpieki rósł – i jest to do sprawdzenia.

Inicjatywę w sprawie publikowania książek Gombrowicza podjąłem dość wcześnie, na początku 1973, po pierwszych sukcesach wydawniczych – tzn. ponownym wprowadzeniu na rynek książek Sławomira Mrożka (w ciągu prawie 20 lat wydałem ok. 1 mln egzemplarzy jego dzieł bez jednej ingerencji cenzuralnej), opublikowaniu w masowym nakładzie książki,

która była wówczas przepisywana w tysiącach egzemplarzy, a nie drukowana oficjalnie – *Tredowatej* Heleny Mniszkówny i budzącym ogromne zainteresowanie początku serii prozy iberoamerykańskiej, zamierzonej już przez mojego poprzednika w WL – Jerzego Skórnickiego i red. Jana Zycha.

U początku mojej inicjatywy w sprawie drukowania Gombrowicza (to: *ja, mój, moja, moje* nie wynika z zarażenia Gombrowiczowskim *ja*, tylko z faktu, że każda decyzja o publikacji książki w WL w czasie mojego dyrektorowania i redaktorowania naczelnego należała do mnie i ponosiłem za nią odpowiedzialność osobistą, natomiast ogromna większość inicjatyw i roboty edytorskiej, zresztą na najwyższym poziomie, była dziełem moich współpracowników, także pozawydawniczych) legła opinia Jana Błońskiego, podówczas docenta, niewiele później profesora. I z jego nazwiskiem związane jest najściślej wydanie *Dzieł* Gombrowicza w WL. Był Jan Błoński tym, który bez żadnych zahamowań głosił wielkość pisarstwa Gombrowicza, brał udział w moich pierwszych rozmowach z wdową po pisarzu, ustalał wspólnie z redaktorami (najczęściej redaktorkami) charakter wydania, tekst kanoniczny, przypisy, objaśnienia – w ogóle wszystko. Jego też nazwisko jako redaktora naukowego tekstu figuruje na wydaniu *Dzieł* w 1986 i latach następnych.

Na przełomie listopada i grudnia 1972 Instytut Filologii Polskiej UJ i Instytut Badań Literackich PAN zorganizowały sesję naukową poświęconą literaturze Polski Ludowej z referatami m.in. Kazimierza Wyki, Mariana Stępnia, Włodzimierza Maciąga, Stanisława Barańczaka i in. równie wielkich. Na sesji tej Jan Błoński przedstawił referat, który mnie zaniepokoił najbardziej pt. *Polak – jakim go widzą, jakim się sobie marzy*, zaś Krzysztof Zaleski wystąpił z referatem pt. *Wokół recepcji Gombrowicza*. Znakomite przemówienie Błońskiego przekonało uczestników sesji, jak bardzo zubożamy polskiego czytelnika, nie udostępniając powszechnie książek Gombrowicza. Zacząłem więc od przygotowania referatów tej sesji do wydania książkowego pod redakcją Mariana Stępnia i od notatki do ówczesnego kierownika polskiej polityki kulturalnej – Wincentego Kraśki, sekretarza KC PZPR oraz Jerzego Kwiatka – kierownika Wydziału Kultury KC, z wnioskiem o konieczności wydawania Gombrowicza w Polsce. Kraśko upoważnił mnie do rozpoczęcia starań w tej dziedzinie, przede wszystkim do rozmów z wdową po zmarłym w 1969 r. pisarzu, ostrzegając przed kontaktami z paryską „Kulturą”, której Instytut Wydawniczy publikował właśnie całość dzieła Gombrowicza w postaci ustalonej z autorem jeszcze za jego życia.

Na początku 1973 wystąpiłem do ministerstwa Kultury i Sztuki z formalną inicjatywą wydania całości dzieł Witolda Gombrowicza opublikowanych za jego życia, tzn. wraz z *Dziennikiem*. Zatwierdzony wniosek na wybór dzieł Gombrowicza miał już od dawna PIW, ale nie dysponował zgodą właściciela praw autorskich. O taką wystąpiłem do wdowy po Witoldzie – Rity Gombrowicz w połowie 1974. Uzależniła swą zgodę od wydania integralnego tekstu *Dziennika* i uzyskania akceptacji Instytutu Literackiego w Paryżu, który dysponował wówczas prawami wydawania dzieł Gombrowicza w języku polskim.

Bliższy kontakt z rodziną Gombrowicza w Polsce i z wdową, która mieszkała wówczas w Mediolanie, nawiązałem za pośrednictwem człowieka, który zaproponował mi, arcyciekawą, jak się okazało, książkę pod tytułem *Witold Gombrowicz i Warszawa jego młodości*. Był to Tadeusz Kępiński, najbliższy przyjaciel Gombrowicza ze szkolnej ławy, później filozof – uczeń Kotarbińskiego i Tatarakiewicza, w czasie wojny działacz podziemia prawicowo-narodowego, ale zaprzyjaźniony z innym żołnierzem podziemia, socjalistą Włodzimierzem Reczkiem, i współpracujący po wojnie z tymże Reczkiem, podówczas wielkim szefem polskiego sportu – jako dyrektor departamentu w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej. Tadeusz Kępiński – wciąż uprawiający swą filozofię i mający duże, a jak się okazało uzasadnione, ambicje pisarskie, ujął mnie swą wiedzą i patriotyzmem, oczarował nieprawdopodobną wprost pamięcią i niezawodną solidnością, choć raził mnie okrutnie nieukrywany poglądami narodowo-prawicowymi i nienawiścią do wszystkiego, co

związane z Piłsudskim. Zostaliśmy mimo wielkiej różnicy wieku przyjaciółmi, aż do śmierci stuletniego Tadeusza w roku 2003.

W porozumieniu z wiceministrem kultury i sztuki, Aleksandrem Syczewskim, zaprosiłem wdowę po pisarzu i jedyną jego spadkobierczynię – Kanadyjkę Ritę Labrosse-Gombrowicz do Polski. Aleksander Syczewski na wiele lat stał się opiekunem inicjatywy wydawania Gombrowicza. Był zresztą przez cały czas swej pracy wiernym przyjacielem polskiego ruchu wydawniczego oraz środowiska pisarskiego, aż został wyrzucony z ministerstwa przez demonicznego i przejętego ideą spiskową Janusza Wilhelmię, który wygrał swą wojnę z Tejchmą i Syczewskim, prowadzoną z inspiracji Jerzego Łukaszewicza – sekretarza KC po odsunięciu Kraśki od wpływów na politykę kulturalną. Ale to już sprawa drugiej połowy lat siedemdziesiątych.

Na razie opór przeciw inicjatywie wydawania całości dzieł Gombrowicza na fali niewiary w taką możliwość, przy wciąż dużych wpływach politycznych marcowego betonu, wykazali niektórzy wydawcy, zwłaszcza zazdrosny o swą czołową pozycję PIW. Telefonowała do mnie z pretensjami w tej sprawie Zofia Bartoszevska – zastępca redaktora naczelnego PIW, oskarżając mnie niemal o szkodliwe awanturnictwo, a w prasie krytykowali mnie niektórzy, związani przyjaźnią z dyrektorem PIW – Andrzejem Wasilewskim – publicyści, popierający starą PIW-owską ideę wydania dzieł wybranych, bez *Dziennika*.

Najważniejszą reakcją Rity Gombrowicz na moje propozycje wydawnicze był jej przyjazd, wraz z adwokatem, do Polski w ostatnich dniach grudnia 1974. Zaczęła, poza spotkaniem z rodziną Gombrowicza w Radomiu, od rozmów z przedstawicielami środowiska teatralnego, które – poinformowane o zgodzie, którą otrzymałem od władz na publikowanie dzieł Gombrowicza - wystąpiło ochoczo z licznymi propozycjami wystawień jego sztuk. Podstawową trudnością w inicjatywach ludzi teatru była niezgoda spadkobierczyni na dokonywanie jakichkolwiek skreśleń w tekście sztuk Gombrowicza, podczas gdy zasada, stosowaną w teatrze od zawsze, jest opracowywanie tekstu do potrzeb przedstawienia. Pertraktacje teatrów z Ritą Gombrowicz trwały jeszcze po jej wyjeździe z Polski, ale jej spotkanie ze mną miało pewne znaczenie także i dla pomyślnego zakończenia tej sprawy.

2 stycznia 1975 r. podjąłem Ritę Gombrowicz i jej adwokata kolacją w Hotelu Francuskim w Krakowie. Towarzyszył mi niezawodny Jan Błoński. Zacząłem od przedstawienia zamiarów publikacji całości dzieła Gombrowicza wydanego za jego życia – z *Dziennikiem* włącznie. Powiedziałem wprost, że w *Dzienniku*, i tylko w nim, będę zmuszony przez cenzurę opuścić kilkanaście wierszy druku, tych które, gdyby zostały wydrukowane, uznane byłyby przez Związek Radziecki, bez żadnych żartów, za naruszenie międzypaństwowych porozumień politycznych. Chodzi o kilka zwrotów typu sowiecki imperializm, dymy Oświęcimia i Kołomy. Było takich określeń, użytych zresztą zawsze en passant, zaledwie kilka. Za sprawę znacznie poważniejszą uznałem fakt, że prawo polskie nie pozwala mi wchodzić w porozumienie oficjalne z Instytutem Literackim w Paryżu i wydrukować jego copyright w wydaniu krajowym.

Ku mojemu zaskoczeniu Rita Gombrowicz oświadczyła, że jako jedyna spadkobierczyni i właścicielka całości praw autorskich Gombrowicza może, ale dopiero od roku 1977, kiedy minie termin jej umowy z Instytutem Literackim na wydanie *Dzieł* Gombrowicza i do kiedy Instytut wyprzedzi drugi, 2-tysięczny nakład, przekazać te prawa Wydawnictwu Literackiemu i ustalić copyright na swoje wyłącznie nazwisko. Odniosłem nawet wrażenie, że nie jest zadowolona z wysokości nakładu *Dzieł* i ze świadczeń materialnych ze strony Instytutu, a zapowiedź realizowania przez WL honorariów niemal wyłącznie w złotówkach jej nie przeraża, poczuwa się bowiem do obowiązków opieki nad rodziną Gombrowicza w Polsce i do tego głównie potrzebuje pieniędzy.

Jej opór wywołała natomiast sprawa owych maleńkich skreśleń. Pryncypialnie nie mogła się zgodzić na żadne skreślenia, co rozumiałem doskonale, lecz argumentowała to

następująco: jeśli się zgodzę na kilkanaście linijek, zgodzę się na zasadę, że pan może dowolnie ingerować w tekst. Nie pomogły moje deklaracje, że mam zwyczaj dotrzymywać słowa. Jej nieufność przeniosła się nawet na Jana Błońskiego, mówił bowiem o zasadach wydania, które byłoby o wiele bliższe niż to paryskie wydaniu naukowemu – z odmianami tekstu, ujednoczeniem ortografii itp. Ze zdenerwowania zapomnieliśmy obaj z Janem Błońskim, jak po francusku mówi się ortografia, a Rita z miną nieufną popatrzyła na nas i nie usiłowała nawet nam pomóc w znalezieniu słowa. Jan Błoński zresztą trącał mnie pod stołem i szeptał: niech się pan zgadza, i tak wydamy jak trzeba.

Pod koniec kolacji, po krótkiej wymianie zdań ze swym adwokatem, Rita Gombrowiczowa wypowiedziała słowa historyczne, brzmiące mniej więcej, tak: „Podpiszemy umowę na całość 9 tomów *Dzieł* wydanych równocześnie (to konsumowało postulat, że zacząć trzeba od *Dziennika*) w nakładzie 5 tys. egzemplarzy, a potem będzie pan wydawał dalsze nakłady poszczególnych tytułów w kolejności, jakiej pan zechce. Dam także Wydawnictwu Literackiemu prawa przygotowania pod nadzorem Jana Błońskiego naukowego wydania *Dzieł* Gombrowicza wraz z tekstami zostawionymi w rękopisach. Jeżeli pan dopuści do tych kilku skreśleń w *Dzienniku* (ale tylko tych kilku), uznam że naruszył pan umowę i zareaguję na to artykułem w „Kulturze” paryskiej. Ale pozwolę panu drukować dalej i zaakceptuję WL jako mojego wydawcę. A umowę podpiszemy u mnie, w Mediolanie, dokąd pana zapraszam jak najprędzej. Adwokat Rity dodał jeszcze, że warunkiem bezwzględny podpisania umowy jest klauzula rozstrzygnięcia sporów przez sąd w siedzibie pozywającego.

Mało kiedy byłem tak szczęśliwy. Ale jeszcze, mając świadomość, że przy barze Hotelu Francuskiego czeka od kilku godzin na rozmowę z Ritą mój przyjaciel, reżyser Jerzy Jarocki, zaproponowałem, żeby integralność tekstu przy wystawianiu sztuk Gombrowicza traktować w ten sposób, aby te partie, które skreśli reżyser (w teatrze używa się dziwnego eufemizmu: określi) drukować w programie teatralnym. I Rita orzekła, że jest to dobry pomysł.

Kiedy, podniecony, na drugi dzień referowałem w Warszawie ministrowi Syczewskiemu wyniki pertraktacji, który wiedział już o zgodzie wstępnej na wystawianie sztuk Gombrowicza, usłyszałem, że realizacja tych moich zapewnień o skreśleniu tylko kilkunastu linijek tekstu będzie wymagała od nas obu nieprawdopodobnej wojny z cenzurą, a może się skończyć tym, że twarogłowi nas obu wyrzucą na zieloną trawkę. Ale od razu dał mi zgodę i pieniądze na podróż do Mediolanu. Tylko jego służby prawne obstawały przy tym, że ewentualny spór prawny może być rozstrzygnięty tylko w Polsce.

Do Mediolanu pojechałem w maju tegoż 1975 i spędziłem 4 dni na spotkaniach i rozmowach z Ritą Gombrowiczową i jej adwokatem, najczęściej w jej mediolańskim mieszkaniu. Adwokat – Paolo Cazzani – okazał się dobrym sprzymierzeńcem w tych rozmowach, łączyły nas zresztą zainteresowania historią, zwłaszcza XX wieku i lewicowo-liberalne poglądy. Był on mocno zaprzyjaźniony z Ritą. Jego fotografia stała na jej biurku obok fotografii Witolda. Ale Rita Gombrowiczowa prezentowała się, podobnie jak przy rozmowach krakowskich, jako kobieta myśląca i działająca niezależnie, racjonalistka i liberałka, niestety słabo zorientowana w polskiej literaturze i kulturze, o naszej historii i sytuacji geopolitycznej nie wspominając. Dochodziło więc między nami do licznych sporów, w których Rita zachowywała zimny spokój, a które łagodził mecenas. Po czym zaskakiwała mnie ciekawymi, prawie intymnymi opowiadaniem o swoim życiu z Witoldem i o jego pomysłach. A także o swoich przyjaciółkach: żyjącej od pewnego czasu wraz z mężem architektem na emigracji, a debiutującej przed niewiele laty w Wydawnictwie Literackim pisarce, Marii Paczowskiej, która opowiadając jak ją prześladował Jarosław Iwaszkiewicz, dodawała sobie literackiej wagi i o żyjącej od przedwojny we Włoszech Polce z pochodzenia, Francoise Frova.

Na francuskich i włoskich tekstach Gombrowicza starałem się pokazać Ricie, co to znaczy wydanie naukowe tekstu i jakich to wymaga komentarzy. Miałem też przygotowane własne tłumaczenia tych kilkunastu linijek, które były niemożliwe do druku w Polsce. Rita Gombrowicz znowu oświadczyła, że Jerzy Gedroyć zgodzi się oddać swoje prawa do wydawania Gombrowicza po polsku w roku 1977, ale tylko pod warunkiem, że wydawca w Polsce opublikuje tekst integralny. Jeszcze raz powtórzyliśmy dżentelmeńską umowę z Krakowa.

Uzyskałem od Rity Gombrowiczowej obietnicę, że w najbliższym czasie (domyślałem się, że po rozmowie z Gedroyciem) da mi odpowiedź, jak się spodziewa pozytywną, w sprawie propozycji, która mi przyszła w czasie naszych rozmów do głowy, abym w międzywydawniczej Bibliotece Klasyki Polskiej i Obcej mógł wydać utwory sceniczne W. Gombrowicza (z tekstami, oczywiście, integralnymi) w związku z tym, że zgodziła się na granie ich w Polsce.

Wyjaśniliśmy także sobie sprawę pogłosek, rozpowszechnianych w Polsce i w środowiskach emigracyjnych, że Witold Gombrowicz w swoim testamencie zastrzegł, żeby być wydawanym w Polsce tylko pod warunkiem uprzedniej publikacji *Dziennika*. Kilku bowiem polskich wydawców i krytyków dysponowało listami Gombrowicza, w których proponował wydanie swych książek bez żadnych zastrzeżeń. Prawda, że dotyczyło to okresu przed owym fatalnym rokiem 1964. Okazało się, że możemy mówić co najwyżej o testamencie moralnym. Testament formalny, sporządzony na dwa miesiące przed śmiercią Gombrowicza przed notariuszem w Vence, mówił bowiem w najkrótszych słowach, że jedyną spadkobierczynią Witolda jest jego żona Rita. I ani słowa więcej.

Testament ten otrzymałem wraz z przygotowanym przez adwokata w języku francuskim projektem tekstu umowy między Wydawnictwem Literackim a „Madame Rita Gombrowicz, heritiere unique de Witold Gombrowicz” o wyłącznych prawach Wydawnictwa Literackiego do publikowania *Dzieł kompletnych* w objętości około 120 arkuszy autorskich, w nakładzie ok. 5000 egzemplarzy.

Aby uniknąć zarzutu, że wbrew wytycznym Naczelnego Zarządu Wydawnictw podpisuję zobowiązanie do rozstrzygania sporów sądowych w siedzibie pozywającego, czyli w Mediolanie, udałem się do mediolańskiego konsula PRL z chytrym zapytaniem, czy dopatruje się czegoś niewłaściwego w tekście umowy. Był zaskoczony moimi pertraktacjami, ale uznał wszystkie moje upoważnienia. Nie znalazł żadnych błędów prawnych. Zapytał tylko, czy może zrobić kopię projektu umowy i testamentu. Nie widziałem przeszkód.

Kiedy jednak na krótko już przed terminem mojego odlotu do Polski chciałem podpisać formalnie umowę, Rita Gombrowiczowa, argumentując, że będzie można ją zrealizować dopiero w 1977, poprosiła mnie o pewną zwłokę i odwiozła mnie swoim malutkim samochodem, który prowadziła znakomicie, na mediolańskie lotnisko. Tam, przy ostatniej kawie, zapytała, czy mogę zwrócić jej testament, który przyśle mi, tak jak to było zaznaczone w projekcie umowy, wraz z podpisanym oryginałem umowy. Zrozumiałem, że porozumiewała się z Paryżem i coś jest niedobrze. Podziękowałem za gościnę, pożegnałem się z posągowo piękną panią Gombrowiczową i od tej pory nie spotkałem jej więcej. Nawet w czasie jej triumfalnych pobytów w nowej Polsce. Nie jestem już wydawcą, a mnie interesowało tylko wydawanie Gombrowicza, nie zaś życie towarzyskie.

Przyszedł teraz czas dłuższego oczekiwania na pisemną odpowiedź pani Rity w sprawie parafowanej już przecież umowy. Łudziłem się, że opóźnianie zgody wynika tylko z pierwszego oświadczenia spadkobierczyni, że nie może udzielić mi praw wydawniczych na *Dziela* przed rokiem 1977. Pisałem więc do niej listy w sprawie przyobiecanego wydania *Dramatów*. Przecież teatry w Polsce grały je już bez przeszkód i bez przeszkód porozumiewały się z właścicielką praw autorskich. Różni ludzie związani z warszawskim środowiskiem teatralnym opowiadali o swoich spotkaniach z panią Ritą. O Gombrowiczu już

bez przeszkód pisali polscy krytycy i literaci. Niektórzy, jak Jarosław Iwaszkiewicz i niezmordowany entuzjasta Gombrowicza – Artur Sandauer w rozmowach z kierownikami polityki kulturalnej podnosili sprawę konieczności wydawania Gombrowicza w kraju. Ale wdowa w sprawach druku jego książek w Polsce milczała uparcie.

W 1978 w odruchu rozpaczy chciałem wydać kilkutomową antologię polskich opowiadań XX w., a w niej cały tom opowiadań Gombrowicza. Byłby to dość gruby wybieg formalny, oparty na przesłance, że opublikowanie utworu w antologii jest prawie możliwe bez zgody autora, istnieje tylko konieczność zapłacenia mu (lub jego spadkobiercom) honorarium. Powstrzymałem się jednak przed tym podstępem, nie chcąc naruszać dżentelmeńskiej wprawdzie, ale przecież umowy z wdową. Jej milczenie pewnie zresztą uratowało moją głowę, bo upór przy wydawaniu *Dziennika* za rządów Łukaszewicza nie mógł się dobrze dla mnie skończyć.

Pewien kłopot miałem także z Tadeuszem Kępińskim, który po ogromnym sukcesie swego *Witolda Gombrowicza i Warszawy jego młodości* (w trzech w WL wydaniach osiągnął nakład 40 tysięcy egzemplarzy) napisał wielką, dwutomową rozprawę pt. *Witold Gombrowicz. Studium portretowe*, w której dał wyraz swej o Gombrowiczu i jego dziełach opinii w kategoriach miłości – nienawiści. Okazało się, jak trudna była ich przyjaźń, albo raczej, jak dziwne przechodziła koleje. Kępiński nabrał do najbliższego przyjaciela młodości niesłychanie krytycznego dystansu, manifestując pretensje o wszystko: o to, że Gombrowicz był antyendemem, że w czasie wojny nie zgłosił się do wojska, że był homoseksualistą. A przede wszystkim, że apologetci Gombrowicza nazywają go wybitnym filozofem, podczas gdy nie wykazywał w czasach młodości większych zainteresowań filozoficznych, a całą swą ówczesną, powierzchowną wiedzę o historii filozofii zawdzięczał Tadeuszowi Kępińskiemu, który filozofię rzeczywiście u najlepszych mistrzów studiował. Rozprawa z apologetami Gombrowicza nacechowana pewnym zaciętrzewieniem i, co tu gadać, endecka ksenofobia, której nie znośm, utrudniała mi akceptację książki Kępińskiemu do druku, a wdzięczność do niego i trudna z nim przyjaźń nakazywała mi książkę wydać. Umówiliśmy się, i zgoda na to dobrze świadczy o charakterze Kępińskiego, że opublikuję jego pracę dopiero wówczas, kiedy ukaże się całość *Dzieł* Gombrowicza, nie można bowiem publicznie polemizować z nieobecnym. I rzeczywiście, po wydaniu Gombrowicza opublikowałem w 1988 I tom Kępińskiego, w którym skumulowane zostały rozdziały budzące najmniej kontrowersji. A i tak pewien zwolennik wolności twórczych (czy może nawet było ich kilku) napadł na mnie, że książka Kępińskiego ukazała się w 20 tys. egzemplarzy – a takie właśnie było zamówienie księgarskie spowodowane zainteresowaniem ówczesnych czytelników wszystkim, co dotyczyło Gombrowicza.

I wreszcie, w kilka miesięcy po wydarzeniach sierpnia 1980 Rita Gombrowiczowa odezwała się listownie i obiecała przysłać umowę przez siebie podpisaną. Znalazła się ona w Wydawnictwie Literackim dopiero w listopadzie 1981. Tymczasem ja już od września tego roku pracowałem w Warszawie, powołany w nowej sytuacji politycznej na I zastępcę przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, prezesa Telewizji Polskiej. Umowa sporządzona w Paryżu była poszerzona o dolepioną zresztą w ostatniej chwili, klauzulę, że zawiera się ją nie z Ritą Gombrowiczową, jako jedyną spadkobierczynią, lecz z Instytutem Literackim jako właścicielem praw autorskich. Mój następca w WL, dyr. Ireneusz Maślarczyk umowę tę, skądinąd słusznie, podpisał.

Równy miesiąc później przyszedł stan wojenny, nowy paroksyzm terroru twarogłowych i o możliwości honorowania Instytutu Literackiego nie mogło być nawet mowy.

Kiedy w 1983 – jako od kilku miesięcy bezrobotny (nie nadawałem się bowiem w stanie wojennym do kierowania Telewizją Polską) – wróciłem do Wydawnictwa Literackiego, zacząłem znowu zabiegać o wydanie całości *Dzieł* Gombrowicza na podstawie tej umowy,

którą przygotowaliśmy z Ritą Gombrowiczową i jej adwokatem w 1975. W listach do Rity powoływałem się na jej zgodę jako jedynej spadkobierczyni praw autorskich i na niemożliwość używania pośrednictwa Instytutu Literackiego. Rita Gombrowiczowa tym razem już odpowiadała na listy i na różne nasze postulaty dotyczące sposobu wydania *Dzieł*, lecz przemilczała konsekwentnie – nie mówiąc ani tak, ani nie – sprawę Instytutu Literackiego.

Ale przecież, wznawiając korespondencję z Gombrowiczową, nie miałem na swoje propozycje i zamiary wydania *Dzieł* zgody nowych władz, lecz jedynie przyjacielskie poparcie prof. Hieronima Kubiaka, który w 1983 był jeszcze członkiem Biura Politycznego, choć już nie sekretarzem KC, a jego wpływy jako potępianego przez beton reformatora, malały z każdym dniem. Na jego miejsce sekretarza KC przyszedł w 1982 działacz młodzieży wiejskiej, pupil gen. Czesława Kiszczaka, Waldemar Świrgoń. Zgodnie jednak z ówczesną polityką gen. Jaruzelskiego – nieoddawania pełnej przewagi twardogłowym i prosowieckim – Kubiak jako członek Biura Politycznego pozostawał formalnie przewodniczącym Komisji Kultury KC, której zresztą, do przyjścia Świrgonia, i ja byłem członkiem. I właśnie Kubiaka jako przewodniczącego Komisji Kultury KC poprosiłem o zdobycie poparcia dla wydania *Dzieł* Gombrowicza u samego gen. Jaruzelskiego. Okazja przyszła dopiero pod koniec 1984. Twardogłowi przypuścili wówczas ostatni szturm na politykę kulturalną, chcąc objąć pełnię w niej inicjatywy za pomocą manipulowania Świergoniem i obawiającym się aparatu przemocy, bezpartyjnym ministrem, prof. Kazimierzem Żygulskim, który był wprawdzie wybitnym socjologiem, ale po kilkunastoletnich przejściach w sowieckich łagrach miał chyba głęboko zakodowane lęki. Wojciech Jaruzelski zwołał więc do pałacu w Natolinie naradę wąskiego grona kierowników polityki kulturalnej: z jednej strony Kubiaka i Rakowskiego, z drugiej sekretarza KC Świrgonia i ministra Żygulskiego, a na referenta wyznaczył zastępcę szefa Głównego Zarządu Politycznego wojska ds. kultury, gen. Albina Żyłę, znanego animatora festiwalu piosenki wojskowej w Kołobrzegu. I jak zwykle w owym okresie, narada zakończyła się niczym, czyli przedłużeniem dotychczasowego pata w kierowaniu polityką kulturalną. Z jednym wyjątkiem: spośród kilkudziesięciu propozycji decyzji, przygotowanych z biurokratyczną starannością przed naradą na piśmie, Wojciech Jaruzelski podpisał tylko wniesioną przez Kubiaka inicjatywę wydania *Dzieł zebranych* (słowo: zebranych dopisałem w ostatniej chwili, żeby zlikwidować możliwość różnych interpretacji) Witolda Gombrowicza.

Cały rok 1985 poświęciłem na pisanie projektów dotyczących sposobu wydania i sprzedaży *Dzieł*, uzgadnianie przedmowy od wydawcy, wysokości nakładu, ceny itp., wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę z doniosłości tej inicjatywy wydawniczej a równocześnie, nie wiedząc o nawet tym, że decyzja podjęta poufnie na najwyższym szczeblu, jest naprawdę ostateczna, obawiali się odpowiedzialności. Inicjatywę poparła oficjalnie specjalna komisja Narodowej Rady Kultury, która była organem mającym sprawiać wrażenie otwartości i odpartyjnięcia polityki kulturalnej. Myślałem też uzyskać formalną zgodę cenzury, a więc przeprowadzić w Warszawie kilka rozmów, tym razem zresztą niezbyt trudnych. Cenzor był bowiem spośród tych, którzy znali poufne decyzje, ale uważał, że moje porozumienie z wdową co do ingerencji w kilku tylko miejscach i w rozmiarze kilkunastu linijek, jest zbyt śmiało przy ówczesnym stanie ówczesnych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Były to przecież dopiero pierwsze dni po przyjściu Gorbaczowa do władzy.

Zgodnie z postanowieniami z Natolina *Dzieła* zostały zaopatrzone wstępem od wydawcy. Pisała ten wstęp redakcja klasyki WL pod kierownictwem Janiny Bahrowej i z udziałem młodego wówczas uczonego – gombrowiczołoga Jerzego Jarzębskiego, a kształt ostateczny tekstowi nadałem własnym piórem. Gdy dzisiaj ten wstęp czytam ponownie, nie widzę w nim niczego, czego mógłbym się wstydzić. Napisaliśmy w nim, że jesteśmy zmuszeni kilkanaście linijek tekstu w *Dzienniku* opuścić, a miejsca te zaznaczyliśmy [...].

Pozostało mi więc tylko uzgodnić korektę umowy z Ritą Gombrowiczową. Ta odpowiadała pozytywnie na wszystkie nasze propozycje, lecz konsekwentnie milczała w sprawie, aby copyright zapisać wyłącznie na nią a nie na Instytut Literacki i w sprawie tych kilkunastu linijek wykropkowanych – ale przecież w obu sprawach mieliśmy dżentelmeńskie porozumienie z 1975 i na tym gruncie konsekwentnie i lojalnie stałem.

Aby nie pozwolić na żadne cofnięcie się władzy czy też kontrofensywę twardegłowych na decyzję o wydaniu *Dziel*, opublikowałem w październiku 1985 wielki, na całą kolumnę, wywiad pt. *Gra o Gombrowicza* w tygodniku *Kultura* redagowanym podówczas przez życzliwego idei wydania *Dziel*, prof. Witolda Nawrockiego. Mówiłem tam, w słowach oględnych o wielu trudnościach, które przyniosła inicjatywa wydawania Gombrowicza, w porozumieniu ze spadkobierczynią zapowiedziałem 20-tysięczny nakład *Dziel* wraz z *Dziennikiem* – czyli wszystko, co zostało ustalone w licznych pertraktacjach. Nie wspominałem tylko, kto stał za decyzją o publikacji.

W grudniu tegoż roku ukazał się w innej „Kulturze” – tym razem paryskiej artykuł Konstantego A. Jeleńskiego pt. *PRL-owskie reguły „Gry o Gombrowiczu”* będący, formalnie rzecz biorąc, odpowiedzią na wspomniany mój wywiad. Motto artykułu Jeleńskiego brzmiało: *JW Panu Gombrowiczowi świeczka i J.O. Władcom ogarek, czyli dzieło bez cenzury cudem okrojone, umowa dochowana i pogwałcona, tekst integralny, a przecież cząstkowy*. Z artykułu wynikało, że jestem krętacz, albo jeszcze gorzej i nie dotrzymuję umowy, którą 13 listopada 1981 podpisałem. Umowa ta została przez Jeleńskiego przytoczona in extenso, choć w przekładzie z francuskiego jej wariantu, a przecież istniał tekst polski i nie trzeba było niczego tłumaczyć. Najdziwniejsze było jednak to, że autor artykułu umieścił pod umową podpis: Andrzej Kurz, podczas gdy pod polskim i francuskim oryginałem widniał podpis i pieczęć Ireneusza Maślarka, mojego od września 1981 następcy na fotelu dyrektora WL, ja bowiem od tegoż września niczego już wspólnego z WL nie miałem i, oczywiście, niczego w jego imieniu nie podpisywałem. K.A. Jeleński wspominał także, że pisze swój artykuł pod nieobecność Rity Gombrowiczowej w Paryżu, a więc tym lepiej rozumiałem, że jest to osobliwa i w gombrowiczowskim stylu dowcipna forma realizacji naszego z Ritą Gombrowiczową porozumienia z 1975. Plotka środowiskowa mówiła bowiem, że K.A. Jeleński jest gorącym zwolennikiem Gombrowicza w Polsce. A utwierdziła mnie w tym odpowiedź, jakiej K.A. Jeleński udzielił w 1987 na ankietę „Respubliki” Marcina Króla w pierwszym numerze tego znakomitego pisma po jego wyjściu z obiegu podziemnego, co stało się jeszcze jednym świadectwem, że coś się w Polsce Ludowej zmienia głęboko. Mianowicie na pytanie ankiety, co uważa za najważniejsze wydarzenie kulturalne w Polsce roku 1976, K.A. Jeleński stwierdził krótko i jednoznacznie: opublikowanie pełnego wydania *Dziel* Witolda Gombrowicza. Była to ostatnia wypowiedź K.A. Jeleńskiego, który wkrótce po tym zmarł. Był on człowiekiem dla podniesienia i ugruntowania roli twórczości Gombrowicza w kulturze Polski i świata najbardziej zasłużonym.

Po tym artykule, już spokojny o losy wielkiej sprawy, stałem telegram do Rity Gombrowiczowej mówiący, że 20-tysięczny nakład 9 tomów *Dziel* Gombrowicza jest już na maszynach, a brak z jej strony odpowiedzi na telegram uznaję za zgodę na taki kształt umowy, jaki ustaliliśmy wcześniej.

We wrześniu 1986 ukazał się 9-tomowy komplet *Dziel* w twardej oprawie z obwolutą i rozpoczęło się piekło na rynku – kolejki i wybijanie szyb w księgarniach, telefony i listy do Wydawnictwa, gwałtowny wzrost liczby moich przyjaciół i znajomych z prośbami o gratisy lub pomoc w kupnie kompletu. Przewidując to, przygotowałem się nieco i obok podwyższonej oficjalnie liczby gratisów odłożyłem ok. tysiąca egzemplarzy do rozdawnictwa na koszt firmy (dziś nazywałoby się to promocją). W porozumieniu z krakowskim Domem Książki kilka tysięcy egzemplarzy zostało rozprzedanych bibliotekom i uczelniom. Stało się jednak rzeczą jasną dla wszystkich, że potrzebny jest nakład dziesięciokrotnie większy.

Miałem zgodę Rity Gombrowiczowej na wznowienia poszczególnych tomów *Dzieł* w dowolnym nakładzie. Tak więc 1987, zaczynając od *Ferdydurke* postanowiłem rzucić na rynek wydania broszurowe 9 tomów *Dzieł* w nakładzie wyjściowym 150 tys. egzemplarzy. Kiedy w 1988 przyszła kolej na pozycję obok *Ferdydurke* najbardziej poszukiwaną – *Dziennik* sytuacja polityczna w PRL była już zasadniczo różna od tej w 1986. Było bowiem rzeczą już jasną, że Gorbaczow rezygnuje z „zewnętrznego imperium „ ZSRR, a premierem polskiego rządu został Mieczysław Rakowski. Wśród wielu inicjatyw liberalizujących rządu a polityką kulturalną w szczególności (ministrem kultury został w 1987 prof. Aleksander Krawczuk a sekretarzem KC ds. kultury pod koniec 1988 – prof. Marian Stępień) znalazła się uchwała Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, któremu przewodniczyłem, skierowana jako wniosek do Rady Państwa PRL, w sprawie zniesienia cenzury i ograniczeń w przywozie książek z zagranicy. W praktyce cenzura przestała obowiązywać i wkrótce zlikwidowano ją formalnie.

Jednak z początkiem 1988 wydrukowaliśmy już pierwszy, 70-tysięczny, rzut drugiego wydania *Dziennika* z klisz wydania pierwszego, bez tych nieszczęsnych kilkunastu wierszy. Zanim jednak zaczęto je rozprowadzać do księgarń, przybiegła do mnie przedstawicielka redakcji klasyki – jedna zresztą z najlepszych redaktorek, jakie w życiu spotkałem, Teresa Podoska, i bardzo podniecona powiedziała: nie możemy wypuścić na rynek ocenzonego nakładu *Dziennika*. Ale przecież wydrukowaliśmy już 3 tomy łącznie w 210 tys. egzemplarzy. To są olbrzymie pieniądze i oddanie takiego nakładu na przemiał było w państwowej firmie nie do wyobrażenia. I wtedy wpadła nam do głowy idea zrealizowania pomysłu, który K.A. Jeleński przedstawił w omawianym wcześniej artykule w paryskiej „Kulturze”: dodać do każdego egzemplarza *Dziennika* kartkę z wydrukowanymi linijkami skreślonego w 1986 przez cenzurę tekstu z zaznaczeniem, w którym miejscu należy odpowiedni kawałek wlepić, aby dysponować tekstem integralnym. I tak też uczyniliśmy. A w następnym, 80-tysięcznym rzucie tegoż 2. wydania tekst był już odpowiednio uzupełniony.

Tak więc już od 1988, czyli od czasów jeszcze Polski Ludowej, Wydawnictwo Literackie publikowało teksty Witolda Gombrowicza w setkach tysięcy egzemplarzy bez żadnego skreślenia.

Ale Jerzy Giedroyc zachował do mnie urazę i nie udało mi się osobiście mu wytłumaczyć, że postępowalem cały czas przyzwoicie i zgodnie z dżentelmeńską umową (i to przy świadkach) z jedyną spadkobierczynią. Kiedy z początkiem 1989 inicjowałem i przygotowałem jako przewodniczący PTWK okrągły stół polskich wydawców – oficjalnych, podziemnych i emigracyjnych (sprawy wydawnicze, ani w ogóle kultury nie były omawiane przy historycznym Okrągłym Stole, bo właściwie nie budziły już wtedy żadnego większego sporu) i kiedy proponowałem, aby na majowych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie w 1989 wystąpili razem wszyscy polscy wydawcy – oficjalni, drugiego obiegu i emigracyjni, co zresztą się stało, zacząłem przygotowania od rozmów z polskimi wydawcami działającymi w Paryżu. Miałem po temu pełnomocnictwa wszystkich prominentów odpowiedzialnych ówczesnie za politykę kulturalną. Otrzymałem je na naradzie w kilkusobowym gronie kierowniczym, które zebrało się u sekretarza KC – prof. Mariana Stępnia. W naradzie uczestniczył także, chyba ostatni już raz, generał Służby Bezpieczeństwa odpowiadający za nadzór nad środowiskami inteligentnymi i słyszałem jego wypowiedziane do sąsiada, ciche „zwischenruffy” o wątpliwym pożytku i długotrwałości tych liberalnych pomysłów. Głosu jednak nie zabrał.

Jerzy Giedroyc w odpowiedzi na prośbę o spotkanie w Paryżu przysłał mi do ośrodka PAN na rue Lauriston, gdzie przez kilka dni oficjalnie urzędowałem, dwa listy. Pierwszy, skierowany do Andrzeja Kurza, Warszawa – był krótki i mówił, że nie wydaje się mu, aby nasze spotkanie było celowe i mogło coś zmienić, bowiem umowa między Wydawnictwem Literackim a Ritą Gombrowicz i Instytutem Literackim nie została dotrzymana, a cenzura

dokonała cięć. Pisał też, że czuje się zaskoczony wiadomością o wieloletnim moim porozumieniu z Ritą Gombrowicz i innymi informacjami, które przedstawiałem w oświadczeniach prasowych. Cieszył się jednak, że w dodrukach nie ma już żadnych ingerencji cenzury. Najdziwniejsze, że list ten przysłał mi bez podpisu. Za to w liście drugim, długim, serdecznym i podpisanym własnoręcznie, skierowanym do mnie jako prezesa Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek informował, że w okrągłym stole wydawców w Warszawie nie weźmie udziału, nie jest bowiem pewien, czy zmiany, które zachodzą w Polsce są trwałe, ale przecież budzą jego wielką nadzieję, zwłaszcza zaś zapowiedzi wychodzące z ust sekretarza KC, prof. Mariana Stępnia. Jeżeli zostaną one dotrzymane, jego udział w inicjatywach, które podjąłem będzie możliwy. Ten list Jerzego Gieroycia wykorzystałem jako zagajenie okrągłego stołu wydawców, który zakończył się ostatecznym zlikwidowaniem podziału literatury polskiej na pierwszo- i drugoobiegową oraz emigracyjną.

Nie wiem jednak do dziś, czy nie podpisując pierwszego listu chciał mi coś pocieszającego przekazać, czy stało się to tylko przypadkiem. Ale sprawę sporu mogłem uznać za załatwioną. Od tej pory wszystkie dzieła Gombrowicza krążą swobodnie w Polsce i wciąż publikowane są w tym samym wydawnictwie w Krakowie.

Warto jeszcze dorzucić parę uwag o ich światowym rozpowszechnieniu i recepcji, zwłaszcza w tej części świata, która dla Polski była i pozostaje niezwykle ważna, a o której pięknoduchy III Rzeczypospolitej niewiele wiedzą i piszą, okazując właściwą sobie pyszałkowatą niedojrzałość. Mianowicie, we wrześniu 1988 przebywaliśmy z dr. Jerzym Jarzębskim z kilkudniową wizytą w Moskwie, na zaproszenie tamtejszego Instytutu Kultury Polskiej przy ambasadzie PRL, niezwykle serdecznie podejmowani przez dyrektora tego Instytutu – Stanisława Mikulskiego i jego zastępcę – Grzegorza Wiśniewskiego. W wielkiej Sali Instytutu, wypełnionej po brzegi kilkusetosobowym tłumem zainteresowanych wydaniem *Dzieł* Gombrowicza w „bratniej Polsce” i w ogóle polskimi przemianami odpowiadaliśmy na dziesiątki pytań. Na „wopros”, dlaczego w Związku Radzieckim nie ma podobnej do naszej polityki kulturalnej mówiliśmy, że jest to, podobnie jak w przypadku Polski, sprawa wyłącznie wewnętrzna, ale, że wiemy już o dużym zainteresowaniu teatrów radzieckich sztukami Gombrowicza. Rzeczywiście, wierne przyjaciółki polskiego teatru i tłumaczki polskiej literatury z Iriną Szerbakową na czele, wcześniej inicjujące w Związku Radzieckim przedstawienia Mrożka i Witkacego, już pracowały nad przekładami Gombrowicza. To jest małe przyczynki do pierestrojki, która zakończyła się zniknięciem Związku Radzieckiego i „widma komunizmu”.

Przedstawiłem w tej przydługiej opowieści prawie całą prawdę o okolicznościach wydania *Dzieł* Gombrowicza w Polsce. Pomiąłem tylko drobne, choć smaczne, szczegóły, niedyskrecje i środowiskowe plotki. Zachowam je do wspomnień, które może kiedyś ktoś wyda.

Chciałbym zakończyć słowami nadziei, że kiedyś, może już niedługo, polityka kulturalna Polski Ludowej znajdzie obiektywnych badaczy, a pewny siebie, choć słusznie zakompleksiony pismak, nie będzie mógł bełkotać, że wydania *Dzieł* Gombrowicza w Polsce Ludowej to nie żadna zasługa – wystarczała przecież zgoda wdowy po pisarzu.